

Od autora: To nie historia lubi się powtarzać, to człowiek uwielbia kopiować skrawki przeszłości i wklejać je w teraźniejszość.

Wracając myślami do beztróskich dziecięcych lat, wciąż czuję orzeźwiający chłód porannej rosy, kroplście rozsianej pośród soczystych traw, iskrzącej w świetle wschodzącego słońca niczym oszlifowane diamenty. Słyszę szybkie kroki babci, odbijające się echem od ścian korytarza, a zaraz po tym czule stuknięcie rączki emaliowanej kanki na mleko, stawianej każdego ranka na drewnianym stole, wypełnionej po brzegi bielusińskim, słodkawym płynem, który malował jasne wąsy nad moją górną wargą. Widzę niebo, tak intensywnie lazurowe, jakby było nasączone koncentratem błękitu. Puszyste obłoki płyną po nim leniwie, dryfują niczym pozbawione sterów okręty, trącane pieszczotliwie mackami wiatru.

Dotykam gęstej sierści psiny, zwiniętej w kłębek tuż obok moich stóp i po chwili biegniemy przed siebie, bezlitośnie demolując harmonię budzącej się łąki. Zrywam czerwone maki, łypiące na mnie czarną żrenicą, gładzę płatki delikatne jak pajęczne sieci. Wtedy głęboko wierzyłam, że swój intensywny kolor zawdzięczają ogromnej ilości wessanej żołnierskiej krwi, która w czasie wojny użyźniała glebę. Mimo owego przeświadczenia, śmierć stanowiła pierwiastek abstrakcyjny, a ja ślepo ufałam, że świat na zewnątrz jest kalką moich dziecięcych wyobrażeń o człowieczeństwie, wiernym odbiciem fantazji, w których kręte, ludzkie ścieżki, chcąc nie chcąc, zawsze wpadały do wielkiej arterii magii i rzeczy pozornie niemożliwych, jak rzeka wpada do morza.

Nazywaliśmy to pomieszczenie stehbunkier, cela do stania. Zrobili cztery takie, w bloku śmierci. Były bardzo małe, niecały metr kwadratowy powierzchni. Naraz upychali czterech albo pięciu ludzi. Właziło się do środka, wczolgując przez niewielkie drzwi przy podłodze. Kto tam tarfil, musiał stać calusienką noc i robić pod siebie. Bunkrowali mnie trzy razy z rzędu po całodziennnej robocie. Człowiek staniał się ze zmęczenia i głodu, słaby, chudy jak szkapa. Zasypialiśmy oparci o siebie. Niektórzy mdleli z duchoty i smrodu. Ciemnica jak w grobie, bo to trumna wprawdzie była... Jak się budziłem, te trzy razy, zamiast żywych trupy na mnie leżały, zimne i ciężkie. Cuchnęło ludzkimi odchodami, brudem, potem, ale przede wszystkim śmierć było czuć. Wszędzie, ale się przywykło. Potem otwierali drzwi przy podłodze i trzeba było te trupy przecisnąć, a samemu na końcu wyjść. Takie kary nam wymyślali.

- Kaśka, szybko, zaraz jedziemy! - Mama, na zmianę burcząc złowieszczo i żałośnie kwiląc, biegła półnaga między pokojem dziennym a sypialnią, w których dzięki przyrośniętej do jej osoby psychotycznej dystrakcji, urządziła z rzeczy codziennego użytku istny tor przeszkód. - Kurwa mać, jak zwykle wszystko muszę zrobić sama! Kurwa, gdzie ten pierdolony prezent!

Ton głosu rodzicielki bił na alarm, zwiastując awanturę, dlatego, czując na plecach duszne tchnienie nadciągającej burzy, pośpiesznie wciągnęłam białe podkolanówki, których szczerze nienawidziłam i czym prędzej wybiegłam z domu. Rozkoszne ciepło letniego popołudnia otoczyło mnie subtelną mgiełką, tuliło i delikatnie kołysało, jakby czuło dziecięce utrapienie.

Odkąd sięgam pamięcią, nerwowe pokrzykiwanie nadąsanej mamy wprowadzało w moje kielkujące jestestwo specyficzny rodzaj niepokoju i dopóki nie dostrzegłam uśmiechu odkształcającego jej usta wygięte grymasem złości, dopóty drżałam w obawie o przyszłość własną i całej rodziny. Obcowanie z niestabilną emocjonalnie osobą i częste padanie ofiarą jej niekontrolowanych wybuchów rozpaczki pomieszanej z agresją sprawiły, że strach przylgnął do mnie niczym pijawka, której nie mogłam oderwać od własnego życia przez długie lata.

Tata siedział już za kierownicą naszego rozklekotanego Fiata 126P, wystukując palcami rytm melodii, która wybrzmiewała w jego kiwającej się głowie, a każdą kolejną frazę akcentował energicznym wysunięciem tułowia w przód. Wpełzłam na tylne siedzenie i ścisnąwszy w dłoniach okrągłe zawiniątko, poczęłam dręczyć samą siebie natrętnymi pytaniami: Czy moi rodzice się kochają, czy mama kocha tatę i na odwrót, czy kochają mnie, babcię?... itd. A może tata pije przeze mnie?

Dziecięce rozważania spłoszył widok matki, która niczym pocisk balistyczny cięła przestrzeń dzielącą ją od samochodu. Po chwili ciepła, kobieca dłoń szarpnęła gwałtownie klamkę, jakby chciała zrobić w samochodzie ogromną wyrwę, i otworzywszy drzwi, pechnęła je tak wściekle, że z głuchym trzaskiem odbiły się od przedniej części karoserii i wracając, uderzyły mamę w plecy. Usłyszałam ciche syknięcie, po czym drzwi malucha zamknęły się z podobnym impetem, a przede mną wyrósł natapirowany, ociekający lakierem kołdun włosów, zasłaniając błękit spojierający przez przednią szybę. Podróż upłynęła na słownych utarczkach moich cudownych rodziców. Tak, cudownych, gdyż dla mnie byli najwspanialszymi ludźmi na całym świecie.

Człowiek był zły na siebie, że tyle przykrych słów kochanej osobie powiedział, że miał jakieś grymasy o blahostki. Patrzyło się na ludzi wokół, padających jak muchy i myślało o tych, co w domu zostali. Czy żyją, czy płaczą jeszcze za tobą? Tęskniłem bardzo za moją Anielą, za jej serdecznym uśmiechem, za niewidzącymi oczami, w których odbijał się świat. I przeklinałem sam siebie, że ją kiedyś za ramię szarpnąłem. Czasem, głęboko w duchu prosiłem, żeby Bóg dał znowu poczuć chłodną dłoń Anieli na twarzy, badającą każdą zmarszczkę. Potem przepędzałem te myśli daleko od siebie, bo bolało za bardzo, bo przecież tutaj człowiek nie był pewien następnej minuty, ba, sekundy. Śmierć lasiła się o nasze nogi jak przymilna kotka, mamiła, by później szponiastymi pazurami wyrwać serca.

Przyjęcie urodzinowe babci odbywało się na dworze, dzięki czemu solenizantka miała niepowtarzalną okazję, by wynosząc z kuchni na zewnątrz naczynia pełne jedzenia, pobiegać nieco i zmęczyć się bardziej niż zazwyczaj. Ojciec został ulokowany pomiędzy dwiema siostrami ciotecznymi, które przytulając głowy do jego cherlawego torsu, co rusz trącały łokciem i ćwierkały jazgotliwie niczym rozwyrzone perliczki. Dla mnie i mamy, ku naciąganej rozpaczki wszystkich zebranych, jak zwykle zabrakło miejsca przy dużym stole. Pośród dramatycznych jęków, mocno przesadzonych i nieszczerzych, usiadłyśmy przy niskim, dziecięcym stolicku, dosztukowanym do głównego niczym ogonek przypięty na pineskę do ciała Osiołka z bajki o Kubusiu Puchatku. Cieszyło mnie niezmiernie owo stolikowe wygnanie, gdyż nie przepadałam za krewnymi ojca, a jeszcze bardziej za ich wścibskimi pytaniami. Z kolei mama wyglądała na bardzo urażoną, co ochoczo manifestowała posyłając ojcu zajadłe spojrzenia.

- Kaśka, jak tam w szkole? - zagrmiał Antoni, ojczym taty. Jako, że byłam jedynie przyszywaną wnuczką, mało oryginalne pytanie świadczyło o najwyższym stopniu zainteresowania moją osobą.

- Dddd...dddododo...dododo.....dddoooodo... – W głowie, która nagle stała się wydmuszką, stukotały powtarzane głoski i sylaby, a spocone dłonie miedliły tłumoczek skrywany pod blatem. Słyszałam jedynie swój urywany głos, przypominający rżenie pogniecionej taśmy magnetofonowej, więc nie patrząc na twarze gości, zrobiłam krótka pauzę, by zaczerpnąć powietrza. Powiesz, dasz radę, nikt się nie śmieje, pomyślałam. – Doooo...dooobrze.

Ufff, udało się, odetchnęłam z ulgą. Dźwięki rzeczywistości powoli wygrzebywały się spod poszatkowanych słów, mających wstydem i napastliwie łomocząc w moją świadomość jak w zamknięte drzwi, próbowały wtargnąć do środka.

- ...ego on... ..ak dziwnie gada? - Pytanie siedmioletniego Mateusza przeszło kłopotliwą ciszę, która zaległa po wygłoszeniu przeze mnie najdłuższego słowa świata. Mama, rumiana na twarzy niczym dojrząca jesień, gotując się do ataku, złożyła w dzióbek wąskie usta. Zapewne miała intencję wycedenia riposty w stylu „Zamknij się, mały idioto”, jednak werbalizacja zamysłu utknęła w napompowanej złością krtani, sprężynując pomiędzy strunami głosowymi.

Tymczasem babcia Krysia, chcąc rozładować duszną atmosferę, uśmiechnęła się szeroko i rzuciła w kierunku wnuka:

- Matijas niedługo jedzie do Niemiec, prawda? Matijasku?

Chłopiec zignorował babcią zaczepkę i bez słowa pognął przed siebie wymachując drewnianym mieczem.

- Tak, wyjeżdżamy, na stałe. W Niemczech będzie nam się dobrze żyło, o wiele lepiej niż tutaj - rzekła stanowczo ciocia Iwona, wyraźnie dumna z podjętej decyzji, po czym zanurzyła widelec w ogromnej sztuce mięsa.

- Między tymi kurwami zachciało wam się żyć i umierać? - Ochryplą głosem wypłynął spod zasłony fertycznych gałęzi płaczącej wierzby, a jego ciężar poczał krążyć nad zebranymi niczym sęp nad padliną.

- Oj, tato... - westchnęła babcia Krysia i utkwiała wzrok w talerzu pełnym kleistego sosu. Zawodzące, pełne boleści jęknięcie starego krzesła poprzedziło ukazanie się mizernej sylwetki dziadka Stefana, wspartej o zdezelowaną łaskę.

- Powinno się te kurwy wybić wszystkie, co do joty – wysyczał, kuśtykając w kierunku drzwi wejściowych. Na zgarbionych plecach starca przykucnęły spojrzenia kilkunastu par oczu, czyniąc jego umykające życie jeszcze cięższym. Nie powiódł za siebie wzrokiem ani razu, a po kilku minutach zniknął we wnętrzu domu z czerwonej cegły, pchany ciszą i niezrozumieniem.

- Tadek dzisiaj umarł – wydukała babcia Krysia kajającym tonem, po czym brzęk naczyń i sztućców znów wypełnił przestrzeń.

- Momomooogę do tototoooaleeety? - szepnęłam, przyciskając wargi do ucha mamy. Widząc delikatne skinienie głowy z osadzoną na niej włochatą sztywną chmurą, niepostrzeżenie wysunęłam krzesło i ruszyłam śladami dziadka.

Tadek zachorował. Źle to wyglądało. Nadszedł dzień, że nie mógł rano wstać z buksy. Kazali nam zanieść go do leichenhalli. Na pewną śmierć, bo ciała z trupiarni ładowali na samochód, a później prosto do pieca. A on jeszcze dychał, lichy, ale dychał. Ukryliśmy go w kącie między trupami, tam gdzie były świeżaki dopiero co wyciągnięte z gaskammery. Następnego dnia poszliśmy sprawdzić, czy jeszcze żywy, czy go w popiół nie zamienili. Był i dychał. Wróciliśmy z wodą i znowu się go przełożyło jak najdalej od wejścia. Codziennie tam laził, z wodą, a później z chlebem i zupą. Za każdym razem przesuwaliśmy Tadka na koniec kolejki do pieca. Przeżył.

Pokoik seniora Stefana mieścił się na piętrze i prowadziły do niego strome schody, które staruszek pokonywał zadziwiająco szybko. Nawet dla mnie, jednostoletniej zwinnej dziewczynki, dogonienie dziadka w drodze na szczyt było trudnym zadaniem. Pewnie miałam za małe stopy i zbyt krótkie nogi.

Kiedy zajrzałam do izdebki, dziadek stał przy oknie, zastygły niczym marmurowy posąg, i uważnie śledził delikatne wirowanie szeleszczących na wietrze liści. W prawej dłoni trzymał żarzącego się papierosa, którego dym oplatał mlecznymi wstęgami skuloną, wątłą postać starca. Z zamiarem niedewastowania ciszy przekroczyłam próg, jednak skrzypiąca podłoga uroczyście zaanonsowała moje odwiedziny.

- Kasiunia, dziecko drogie, wejdź! - Usłyszałam ciepłe zaproszenie, po czym dziadek spoczął na skraju tapczanu, należącego wraz z taboretami i niewielkim regałem do zbioru sprzętów z trudem obejmowanych przez ciasną klitkę. Ilekroć zaglądałam do jego lokum, zadawałam sobie pytanie, dlaczego z tylu dużych pokoi mieszczących się w domu z czerwonej cegły, najstarszemu w rodzinie przydzielono najmniejszy. Dziwne.

Pospiesznie wysupełam ze ściskanego od dwóch godzin zawiniątka okrągły przedmiot w kolorze miedzi i rozanielona wręczyłam staruszkowi. Popielniczka, po dokładnych oględzinach, została ulokowana za szybką, na specjalnej półeczce w gronie innych popielniczek, które sprezentowałam wcześniej dziadkowi. Miał już całą kolekcję, a ja byłam z niej dumna.

- Nie zapominasz o mnie, dziękuję - Szorstka dłoń czule rozczochrała moją grzywkę. - Twoje serduszek jest ze złota, masz w piersi wielki skarb. Nie pozwól złym ludziom, by go ukradli, a w zamian wstawili zimny kamień.

Słowa dziadka zapadły głęboko w moją pamięć, jednak od tamtego letniego popołudnia musiał upłynąć szmat czasu, nim zrozumiałam ich sens. Wówczas nieistotnym stał się fakt, że dziwnie gadam, drobnostką okazał się bujny zestaw tików towarzyszący moim kwiecistym wypowiedziom. Poczułam własne istnienie i właśnie to było najważniejsze.

Kilka godzin później stałam przed gołębnikiem, trzymając w dłoniach pierzastą istotę, pulsującą szybkim rytmem bijącego serca. Zachodzące słońce zakwitło herbacianą różą, a płonące jęzory lizały nasze skupione twarze. Frywolny wietrzyk krążył dookoła i zaczepnie skubał ubrania. Powykręcane starością place dziadka, trzęsąc się niemiłosiernie, wiązały białemu gołębiowi, najpiękniejszemu z całej hodowli, czarną wstążeczkę na nóżce. Gorejący karmazynem blask snuł się po sędziwej, zmarszczonej skórze, muskając przebarwienia, znamiona, resztki włosów i blaknący tatuaż, bardzo prosty, składający się zaledwie z sześciu cyfr. Numer...

- Gotowe. To nasz prezent dla Tadka. A teraz unieś ramiona wysoko w górę i uwolnij ptaszynę. Niech leci daleko – rzekł dziadek Stefan.

Zrobiłam podług jego prośby, a gołąb poszybował wysoko między rubinowe obłoki, jak ludzkie życie ulatujące wraz z dymem buchającym z pieców krematoryjnych.

- Ggggdzie on popopoleccci? - zapytałam.

- On zabiera nasze smutki i leci do nieba, dziecino, ale najpierw do Auschwitz...

Z podróży w przeszłość wyrывa mnie rozpaczliwy krzyk. Przeszywa pozorny spokój bladego poranka niczym zatruta włócznia. Są blisko, myślę.

- Bestialsko mordują, gwałcą, podpalają domy. Otoczyli gminę, nie da się uciec – usłyszałam wczoraj, ale informacja wpadła w moją głowę jak w studnię bez dna.

Gdy zesłam do ciemnej piwnicy, w której ukrywała się moja rodzina, oznajmiłam z uśmiechem na twarzy, że już niedługo przyjdzie wybawienie. Mąż, matka, córka z zięciem i dwoma synami, padli sobie w ramiona. Podczas kolacji złożonej z cebuli i ziemniaków radośnie chwyciliśmy się za ręce i dziękowaliśmy Bogu za cud. Widząc nadzieję w oczach najbliższych, miałam w duszy własny strach. Nie oddam ich, nie oddam nikomu ich życia, powtarzałam w myślach. Na dobranoc przygotowałam napój z resztek cukru i kilku kropel czarodziejskiego płynu, który miał odmienić losy mojej rodziny. Leżeli szczęśliwi na materacach pod zimną ścianą, a ja podawałam szklaneczki. Pół godziny później było już po wszystkim. Ciała obsypałam aksamitnymi płatkami kwitnących czereśni, po czym wtuliłam głowę w stygnące ramię mojego męża.

Śniłam, że gonię dziadka Stefana, pokonując strzeliste schody, pnące się wysoko w górę, jak pomost łączący piekło z niebem, usiany kadrami z mojego życia. Znowu miałam małe stopy i głowę pełną marzeń. Byłam już bardzo blisko, słyszałam stukot obdrapanej laski.

- No, pokaż się, Kasieńka. Serduszek pompuje złoto, nie truciznę i jad...

Pamięć, montując film z dzieciństwa wybiera momenty, w których dusza ludzka wzniosła się na emocjonalne wyżyny i człowiek doznał czegoś szczególnego. W moim przypadku rytuał przed gołębnikiem był właśnie taką chwilą, cudownie magiczną, zasługującą na podium. Dlatego za każdym razem, gdy wydarzyło się coś niedobrego, gdy dusił smutek i ból, z zamkniętymi oczyma wysyłam w myślach wiadomość specjalną do dziadka Stefana, zaklętą w białej synogarlicy z czarną kokardką na nóżce. Jednak dzisiaj nie muszę przymykać oczu, by posłać gołębia w przestworza, dzisiaj nie może wydarzyć się już nic złego.

Zatem siedzę na dachu domu rodzinnego, a obok stoi klatka z gruchającymi niespokojnie cukrówkami. Z całej hodowli zostało tylko sześć, reszta wylądowała w kociołku, część wymieniliśmy na leki, mydło, cebulę i zapalki. Woń kwitnących czereśni zagarnęła dla siebie powietrze, walcząc z oddechem śmierci. Patrzę w dal, poszarzała od dymiących zgliszczy, i maluję w duszy obraz idealnego świata, przecierając myślami zakrwawione okna. Otwieram klatkę z uwięzionym wewnątrz życiem i śledzę gołębi taniec wśród żałobnego świtu. Sięgam do kieszeni i zaciskam brudne palce na chłodnym szkle. Buteleczka z czarodziejskim płynem.
- Nnnnana zzzdrowie – szepczę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

puma81, dodano 08.05.2013 08:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.